

**OWIDIUSZ  
METAMORFOZY  
(wybór)**



**P. OVIDI NAS ONI S METAMORPHOSEON LIBER PRIMVS**

**In nova fert animus mutatas dicere formas :  
corpora: di, coeptis (nam vos mutastis et illas) -  
adspirate meis primaque ab origine mundi  
ad mea perpetuum deducite tempora carmen.**

## Komentarz filologiczny

Miał rację Owidiusz, kiedy w zakończeniu *Metamorfoz*, dumnie przepowiedział nieśmiertelność sobie i własnej twórczości. Miał rację. Parafrazując słowa autora, chciałoby się rzec, że jego dzieła nie zdołał zniszczyć ani gniew Jowisza, ani ogień, ani miecz, ani trawiący wszystko czas, a imię i niezniszczalna sława poety wciąż żyją i żyć będą póki trwa ziemia i słońce.

*Metamorfozy*, czyli *Przemiany*, dzieło, z którym - jak słusznie zauważono - żaden inny utwór (z wyjątkiem Biblii) nie może się równać jeśli chodzi o ilość motywów czerpanych zeń przez literaturę europejską wszystkich epok, są owocem dojrzałej fazy w twórczości Owidiusza, poprzedzonej okresem tworzenia elegii o tematyce miłosnej, w którym poeta dopiero odkrywał przed światem swój talent i doskonalił poetycki warsztat. *Metamorfozy* powstały między rokiem 2 a 8 n.e. w Rzymie, politycznej i kulturalnej stolicy ówczesnej cywilizacji, mieście, którego władcy sprzyjali rozkwitowi sztuk, wspierali młodych zdolnych artystów i stwarzali warunki dla rozwoju ich talentów.

Składające się na utwór przeszło 250 mitów, opowiedzianych w ponad dwunastu tysiącach wersów zebranych w piętnaście ksiąg, tworzy niezwykle urozmaiconą tematycznie opowieść o przemianach dokonujących się w świecie za sprawą bogów. Motyw przemiany, łączący poszczególne epizody, wyeksponowany został przez poetę już na samym początku utworu. W krótkim czterowersowym wstępie podkreśla on mianowicie, iż właśnie "przemiany ciała w nowe kształty" będą przedmiotem tej obszernej opowieści:

In nova fert animus mutatas dicere formas  
corpora, di coeptis (nam vos mutastis et illas)  
adspirate meis primaque ab origine mundi  
ad mea perpetuum deducite tempora carmen.  
(W nową postać zmienione chcę opiewać ciała.  
Bogi! Wasza to wszechmoc tych zmian dokonała.  
Wy, mój zamiar wspierając, od początku świata  
Pieśń ciągłą aż po moje doprowadźcie lata.

Zachowując sięgające tradycji Homerowej wezwanie do bogów o natchnienie, zapowiada autor chronologiczny układ opowieści. Rzeczywiście, utwór rozpoczyna się opisem powstania świata, czterech wieków ludzkości, zesłanego na ludzi przez zagniewanego Jowisza potopu, z którego ocalałe jedynie miłująca sprawiedliwość para starszków, Deukalion i Pyrra, kończy się natomiast nawiązaniem do postaci zabitego rok przed narodzinami Owidiusza Juliusza Cezara, którego dusza przemieniona w gwiazdę spogląda z firmamentu, radując się sławą dokonań syna, Oktawiana Augusta - ówczesnego władcy Rzymu. Pomędzy tymi, wyznaczającymi ramy Owidiuszowej narracji epizodami, przed oczyma wyobraźni czytelników rozgrywają się wydarzenia, w których uczestniczą setki postaci mitycznych.

Legendarnych bohaterów opowieści, przemieniających się z woli bogów a to w rośliny i zwierzęta, a to w kamienie i gwiazdne konstelacje, trudno ustawić w ścisłym chronologicznym porządku, można ich jednak pogrupować w pewne ciągi genealogiczne, a końcowe księgi poematu (11-15), przedstawiające mity trojańskie i italo-rzymskie, przenoszą opowieść o przemianach w czasy historyczne.

Metamorfoza stanowi tematyczną dominantę utworu, chociaż w wielu poszczególnych opowieściach przemiana nie zajmuje głównego miejsca, a nawet w ogóle jest nieobecna. Uważny odbiorca poematu dostrzeże jednak jeszcze inny, poza tematycznym, aspekt metamorfozy, mianowicie dotyczący artystycznego kształtu wypowiedzi. Można rzec, że Metamorfozy Owidiusza są wynikiem przemiany ich autora z poety-elegika w poetę-epika, sam zaś utwór rezultatem przekształcenia tradycyjnych wzorców gatunkowych. Tę genealogiczną metamorfozę sygnalizuje zresztą Owidiusz już na wstępie, gdy określa własne dzieło mianem *carmen perpetuum*, dosłownie pieśnią ciągłą. Sformułowanie to, nawiązuje do tradycji Homerowej, wedle której pieśń epicka jest obszernym utworem przedstawiającym przyczynowo-skutkowy ciąg zdarzeń skupionych wokół jednej, co najwyżej kilku głównych postaci. Owidiusz, pisząc Metamorfozy, odchodzi jednak od takiego modelu epiki i jak hellenistyczny poeta Kallimach koncentruje swą uwagę na wielu różnorodnych mitach i postaciach, zamykając opowieść o każdej z nich w ramach stosunkowo krótkiego, niezwykle starannie opracowanego, stanowiącego zamkniętą całość opowiadania. Udało się jednak naszemu poecie połączyć tę poetykę małych form literackich z koncepcją wielkiego epickiego poematu: przedstawione w Metamorfozach epizody, różniące się od siebie tematyką i nastrojem, układają się w epopiej o ciągłości istnienia, dwoistości natury i niezmienności ludzkich namiętności. Owidiusz dowodzi, że "wielka księga" nie musi być, jak chciał Kallimach, "wielkim złem". Przeciwnie, obszerny poemat może zachwycić zarówno głębią myśli jak i rozmachem jej artystycznego przedstawienia.

Wróćmy jednak do opisywanych przez Owidiusza mitycznych zdarzeń i postaci. Przedstawienie przejętych z kultury greckiej wątków fabularnych, doskonale znanych rzymskim czytelnikom epoki augustowskiej, nie było w założeniu autora Metamorfoz celem samym w sobie. Przemiany są czymś więcej aniżeli antologią grecko-rzymskiej mitologii. Są raczej zbiorem, w którym niezwykle sugestywnie i plastycznie ukazuje poeta ludzkie dylematy i odmalowuje całą gamę ludzkich namiętności. Za pomocą urzekającej magii słowa kreśli najsubtelniejsze odcienie afektów, którym podlega człowiek w różnych, najczęściej konfliktowych, sytuacjach. Na przykładach mitycznych bohaterów pokazuje barwy radości i smutku, miłości i nienawiści, strachu i odwagi, wstydu, pychy, pokory, zazdrości, bezsilności, zawiści. Właśnie wyeksponowanie aspektów psychologicznych w opisach zarówno postaci jak i sytuacji, swoista subiektywizacja opisu i dążenie do jego udratyzowania, decydują o oryginalności Owidiuszowej techniki poetyckiej. Najbardziej kunsztowne i zasługujące na szczególną uwagę są opisy aktów metamorfoz. Cechuje je wyjątkowa wyrazistość, a umiejętne oscylowanie pomiędzy dynamiką a statycznością obrazu jak również między konwencjonalnym zretoryzowaniem a ekspresyjną spontanicznością języka przydają opisowi przemian głębokiej wiarygodności i wprowadzają czytelnika w baśniowy, a jednak w pewien sposób bliski mu i - chciałoby się rzec - na wskroś ludzki świat uczuć i emocji.

Trudno uwierzyć, że zachwycające artystycznym kunsztem Metamorfozy Owidiusza są dziełem niedokończonym. Autor nie zdążył nadać mu ostatecznego kształtu; poświadczą to sam w swych późniejszych utworach. W roku 8 n.e., kiedy Owidiusz jest w pełni sił twórczych, u szczytu sławy i powodzenia, kiedy wciąż cyzeluje swoje Metamorfozy, jego życie ulega gwałtownej przemianie. Z rozkazu Augusta, z niejasnych do końca przyczyn, zostaje dożywotnio relegowany z Rzymu i zesłany do czarnomorskiej Tomis, miejscowości leżącej na krańcach rzymskiego imperium. Tę najboleśniejszą z metamorfoz - własną przemianę z pełnego radości światowca i modnego poety w zgorzkniałego, pozbawionego

przyjaciół i nadziei wygnańca - opisał w cyklach łzawych elegii i listów pisanych z wygnania. I choć poruszają one i dzisiejszego odbiorcę sugestywnym opisem mizerności wygnańczego życia, faktem jest, iż na wyżyny swoich możliwości wzbil się Owidiusz nie w przeładowanej wątkiem osobistym poezji wygnańczej, lecz właśnie w *Metamorfozach*.

Urywki *Metamorfoz* w tłumaczeniu Brunona hrabiego Kicińskiego. Przekład ten po raz pierwszy został opublikowany w latach 1825/1826 (uzupełniony w 1843), wznowiony zaś był w wyborze w roku 1953 w Serii II Biblioteki Narodowej. Mimo wielu dekad, które dzielą nas od jego powstania, warto wsłuchać się dzisiaj, na początku dwudziestego pierwszego wieku, w heksametry Owidiuszowego arcydzieła przekute przez Kicińskiego na trzynastozgłoskowe rymowane wersety. Patyna czasu przydała im dostojeństwa, lecz nie pozbawiła lekkości i wdzięku, cech, które charakteryzują łaciński oryginał.

## KSIEGA I

W nową postać zmienione chcę opiewać ciała.  
Bogi! Wasza to wszechmoc tych zmian dokonała.  
Wy, mój zamiar wspierając, od początku świata  
Pieśń ciągłą aż po moje doprowadźcie lata.

### POWSTANIE ŚWIATA

Jeszcze nie było morza, ziemi, a u góry  
Niebios, lecz jedno było oblicze natury.  
Zowią je Chaos: ogrom bezkształtny, nieskładny.  
Nic tylko ciężar gnuśny, martwy i bezwładny,  
Zbiór sprzecznych elementów, wszech rzeczy zarodków.  
Jeszcze Tytan swym blaskiem nie rozjaśniał mroków,  
Jeszcze Feby nie rosło ni nikło poroże;  
Ziemia się nie ważyła w powietrznym przestworze  
Własnym ciężka brzemieniem, ni ramiony swemi  
Amfitryta rozległej nie objęła ziemi.  
Morze, ziemia, powietrze jedno tworzą ciało.  
Ziemia stałości, morze płynności nie miało,  
Powietrze światła. I tak w ciągłym z sobą sporze  
Swej postaci nie miały, w jednym bowiem zbiorze  
Zimno z gorącem, suchość z wilgocią walczyła,  
Miękkosć z twardością, lekkość z ciężkością się biła.

Boska siła natury ten spór rozstrzygnęła,  
Niebo od ziemi, ziemię od morza odcięła;  
Ponad gęste powietrze wzniosł się eter płynny.  
Z bezładnego chaosu gdy bóg dobroczynny  
Wydzielone żywioły zgodą spoił ścisłą,  
Niebios sklepienie blaskiem słonecznym rozbłysło  
I obrało w przestworzach siedlisko najwyższe.  
Lotne powietrze miejsce ma niebu najbliższe,  
A gęstsza ziemia, własnym ciężarem tłoczona,  
Tęższe ściągnęła części do głębin swych łona.  
Ziemię oblał Ocean, zajmwszy swe łożo.

Gdy tak Twórca, ktokolwiek z bogów nim być może,  
Urządził, gdy na części rozdzielił to brzemie,  
Natychmiast w postać koła zaokrąglił ziemię.  
Kazał rozlać się morzom, wiatrom wzdymać wały

I okręgu ziemskiego opasać brzeg cały.  
Dał bagna niezbrodzone, stawy, zdroje żywe,  
Rzeki z gór spadające wziął w koryta krzywe;  
Jedne z nich gubi w ziemi, inne w morze ciska,  
Gdzie szeroko rozlane, płyną bez łożyska.  
Kazał się dołom zniżyć, polom rozprzestrzenić,  
Skalistym wznieść się góróm, lasom zazielenić.

Jak niebo krają pasy, dwa po prawej stronie,  
Dwa po lewej, a piąty żywszym ogniem płonie,  
Tak też rozdziela bóstwo i padółu brzemie  
I pod tyleż odmiennych stref poddaje ziemię.  
Średnią z nich skwar wyludnił, dwie w śniegu spoczęły,  
A dwie zimna i ciepła równy podział wzięły.  
Nad ziemię wznosił powietrze, tak od ognia cięższe,  
Jak są od cząstek wody cząstki ziemi cięższe.  
Tam obłoki, tam dżdżyste chmury naprowadził,  
Tam i grzmoty na postrach śmiertelnych osadził,  
Tam grom włada, tam wichry górne mrozą kraje.  
Choć nie całe powietrze Twórcą im poddaje,  
Trudno im stawić opór, i choć tylko mogą  
W wyznaczonych dziedzinach własną lecieć drogą,  
Ledwie jednak na poły nie rozszarpią świata.  
Tak niezgodni są bracia. Eur w państwie Nabata,  
W krajach Zorzy i w Persji swe rządy rozszerza;  
Zefir zachodnim słońcem rozgrzane wybrzeża  
Wziął pod swe panowanie, a Boreasz groźny  
Otrzymał zimną Północ i kraj Scytów mroźny;  
Dalekie zaś wybrzeża południowej ziemi  
Dzierży Auster i skrapia deszczami ciągłymi.  
W górze nad nimi niebo rozciągnął wiszące  
Lekkie, płynne, ziemnego mułu nie mające.  
A gdy Bóg ład wprowadził w chaotyczną bryłę,  
Gwiazdy, które dotychczas w nawale się kryły,  
Roziskrzają się zaczęły na pogodnym niebie.  
Twórcą chcąc, aby wszystko wzięło życie w siebie,  
Chcąc mieszkańcem zaludnić tych światów przestrzenie,  
Sieje obrazy bogów na niebios sklepienie,  
Skrzelistymi rybami wód przestwór zaplemia.  
Ptastwem powietrze, zwierzem zaludnia się ziemia.

Ale świętszej istoty brakło jeszcze ziemi,  
Zdolnej myśl wzniosłą pojąć i władać innemi.  
Powstał człowiek. Czy boskim dał mu życie tchnieniem  
Twórcą lepszego świata, pan nad przyrodzeniem,  
Czy ziemia, od powietrza świeżo oddzielona,  
Pokrewnych sobie niebios ukryła nasiona:  
Te syn Japeta wody rzecznyymi roztwarza,  
Człowieka lepi, bogów kształtem go obdarza.  
A gdy każde ze zwierząt wzrok w ziemię spuszczało,

Postawę człowiekowi nadaje wspaniałą  
I w niebo patrzeć każe, i do gwiazd sklepienia  
Pozwala my wyniosłe obracać wejrzenia.  
Tak ziemia, dawniej gruba i bezkształtna bryła,  
Przemieniwszy swą postać, ludźmi się pokryła.

## CZTERY WIEKI LUDZKOŚCI

Złoty najpierw wiek nastał. Nie z bojaźni kary,  
Lecz z własnej chęci człowiek cnoty strzegł i wiary.  
Kary, trwogi nie znano. W spiżowych tablicach  
Groźby praw, i wyroku na sędziego licach  
Lud nie czytał: bez sędziów byli bezpiecznemi.  
Jeszcze sosna dla obcej odwiedzenia ziemi  
Nie zstąpiła do morza ze swych gór rodzinnych,  
A człowiek prócz ojczystych nie znał brzegów innych.  
Grodów nie otaczano spadzistymi wały,  
Proste trąby i surmy zagięte nie brzmiały;  
Hełmu, miecza nie było, i bez wojsk narody  
Używały w spokoju bezpiecznej swobody.  
Jeszcze bronią nie tknięta, od pługa spokojna,  
Wszystko z siebie dawała ziemia w dary hojna.  
Przystając na pokarmie, zrodzonym bez pracy,  
Z drzew owoc, z gór poziomki zbierali wieśniacy,  
Tarnki i głóg, rosnący na krzakach ciernistych,  
I żołędzie, co spadały z dębów rozłożystych.  
Wiosna była wieczysta. Zefiry łagodne  
Rozwijały tchem ciepłym kwiaty samorodne.  
Zboża na nieoranej rodziły się ziemi  
I łan ugorony kłosa połyskał ciężkimi.  
Hojną płynęły strugą i nektar, i mleko,  
I z dębu zielonego złote miody cieką.

Gdy strąciwszy Saturna w ciemne piekiel kraje  
Jowisz wziął berło świata, wiek srebrny nastaje,  
Gorszy niżeli złoty, od spiżu szczęśliwszy.  
Wtedy to Jowisz, dawnej wiosny czas skróciwszy,  
Na zimę, zmienną jesień, na lata upały  
Oraz na krótką wiosnę rok rozdziela cały.  
Wtedy jęło powietrze wrzeć skwarnymi pieki,  
Wiatry ścięły w lód wodę i zamarzły rzeki.  
Szukano domów: były domami gęstwiny,  
Pieczary i szałas z chróstu i wikliny.  
Zaczęto w długie skiby ukrywać nasiona  
I jękła para cielców, jarzmem uciśniona.

Wiek trzeci był spiżowy, dziki, niespokojny,

A choć wolny od zbrodni, już skory do wojny.  
Ostatni jest wiek czwarty, z twardego żelaza.  
Z nim wszelkiej zbrodni na świat wyległa zaraza.  
Wstyd, niewinność i wiara, i prawda uciekła.  
Ich miejsce wzięła chytrność, zdrada, zemsta wściekła,  
Przemoc i żądza bogactw, wszech zbrodni przyczyna.  
Na wiatry, których nie zna, flis żagle rozpina,  
I te, co długo stały na wyniosłej górze  
Sosny, płynąc po morzach wyzywają burze.  
Wprzód wspólną jak powietrze, jak słoneczna jasność,  
Człowiek ziemię pomierzył i zajął na własność.  
Nie dość na tym, że zboże rodzić ją zmuszono.  
Więcej żądała chciwość: wdarto się w jej łono.  
Stąd owe drogie skarby zostały dobyte  
Do zła podniety, dotąd blisko piekieł skryte.  
Od złota podżegana, a żelazem zbrojna,  
Wśród mordów i pożogi wyszła na świat Wojna.  
Błysła hartownym mieczem krwią zlaną jej ręka.  
Żyją z łupiestw. Już gościa gospodarz się lęka,  
Teść zięcia, brat własnego syna nienawidzi,  
Mąż w żonie, żona w mężu wroga swego widzi.  
Macocho swym pasierbom jad gotuje skrycie,  
A syn chciałby przed czasem ojcu skrócić życie.  
Ginie cnota. Krwią zlane widząc ludzkie plemie,  
Ostatnia z bóstw, Astrea, opuściła ziemię.

## POTOP

Już miał swe gromy ciskać na przelękłą ziemię,  
Lecz z obawy, by pożar, wszczęty od pioruna,  
Eteru nie ogarnął, nie spalił bieguna,  
I pomny, że wyroków wolą niecofnioną  
Kiedyś morza i ziemia, i niebiosą spłoną  
I cały świat powszechna ogarnie zagłada,  
Ukute przez cyklopów pioruny odkłada,  
Inszą karą chce zniszczyć ziemian ród zuchwały -  
Chce, by z wszystkich chmur nieba razem deszcze lały.

Wsadza więc Akwilona do eolskiej góry,  
Wraz z wiatrami, co czarne rozpędzają chmury.  
Zsyła Nota. Na mokrych skrzydłach Not się zrywa.  
Groźne jego oblicze gęsta mgła okrywa,  
Chmury osiadły czoło, deszczem cięży broda,  
Z siwych włosów i skrzydeł zwolna ścieka woda.  
On gdy silnym ramieniem chmury z sobą zetrze,  
Grom pada i rzęsisty deszcz siecze powietrze.  
Iryda w różnobarwne przybrana odzienie



Pije wody, podaje chmurom pożywienie.  
Ścielą się zboża, próżna nadzieja rolnika,  
Długiego roku praca nadmiernie znika.  
Ale na zemście niebios Jowisz nie przestaje;  
Brat jego w bystrych wodach posiłki mu daje.  
Zwołał rzeki. Gdy weszły w dom władcy: "Nie trzeba  
Długich słów - rzeczce - śpieszcie! Taka wola nieba.  
Wywrzycie wasze siły i domy otwórzcie,  
Puśćcie wodze strumieniom i tamy rozburzcie!"  
Rzekł. One wszystkim zdomom wodze pospuszczały  
I w rozuzdanym biegu pędzą w morskie wały.  
On sam trącił trójzębem ziemię przełknięoną.  
Jęknęła i otwarła wód ukrytych łono.  
Rwą w powodzi po polach, a niszcząc zasiewy  
I ludzi porywają, i stada, i krzewy,  
Chaty i poświęcone przybytki niebianom.  
Choć gmach jaki dostoi wzburzonym bałwanom,  
Przecież silniejsza wkrótce zakryje go fala,  
Ponad wież szczyty nawet woda się przewala.  
Już i ziemia, i morze różnicy nie miało,  
Wszystko jest morzem, morzu brzegów brakowało.  
Ten się chroni na wzgórze, w czółno siada drugi  
I tam wiosłem kieruje, gdzie prowadził pługi.  
Ten nad zbożami pływa i nad wsią zalaną,  
Ów z szczytu wiązu chwytą rybę zabłąkaną.  
Ten na łąkach zielonych zarzuca kotwicę,  
Ów porze grzbietem nawy obfite winnice.  
A gdzie wprzód zręczne kozy gryzły trawkę małą,  
Teraz foka pokłada swe niezgrabne ciało.  
Widząc pod wodą miasta, gaje i świątynie,  
Morskie na to zjawisko zdumiały boginie,  
A delfiny o dęby tłukły się po lesie.  
Płynie wilk pośród owiec. Tu fala lwa niesie,  
Ówdzie niesie tygrysa. Ni odyńca - siła,  
Ani lekkość nóg rącznych jelenia zbawiła,  
I na próżno szukając spoczynku na ziemi,  
Ptak błędny upadł w morze skrzydły zmęczonemi.  
Wreszcie i góry pokrył ocean wezbrany;  
Pierwszy to raz ich szczytów dosięgły bałwany.  
Woda wchłonęła ludzi; ci, co uszli fali,  
W strasznych głodu męczarniach życia dokonali.

## DEUKALION I PYRRA

Od mieszkańców Aonii Attykę dzieliła  
Focyda, ziemia żyzna, póki ziemią była.  
Dziś jest tylko dnem morza i tylko z wód łona  
Swymi dwoma wierzchołki nad chmury wzniesiona  
Góra Parnas ku gwiazdom czoło wzbija śmiało.

Tam Deukalion, gdy resztę morze pokrywało,  
Przybił z Pyrrą, na wątlej łodzi uniesiony.  
Bóstwom góry i nimfom składają pokłony,  
I Temidzie, wróżącej w Korycejskiej grocie.  
Nad niego żaden bardziej nie kochał się w cnocie,  
Bogobojniejszej nad nią na świecie nie było.  
Widząc Jowisz, że morze jest ziemi mogiłą,  
Że z tylu kroci ludzi pozostało dwoje,  
Oboje bogom wierni, niewinni oboje,  
Spędza mgły, Akwilonem pasmo chmur rozrywa,  
Niebu ziemię, a ziemi niebiosą odkrywa.  
I morza gniew ustaje. Neptun trójząb złożył,  
Bystre wiatry uciszył i wody ukorzył.  
Woła Trytona. Tryton, wyższy nad bałwany,  
Przypływa; grzbiet ma siwy muszlami nadziany.  
Pan morza w brzmiającą konchę dać mu każe silnie  
I wodom do odwrotu dać znak nieomylnie.  
Tryton porywa trąbę wydrażoną, krętą  
Jak ślimak, zrazu cienką, zaś w końcu wydętą.  
Gdy w nią zadmie na środku morza, w ziemi końce  
Głos się niesie, gdzie wschodzi i zachodzi słońce.  
Tak i teraz, gdy Tryton mocny dech w nią przelał  
I tak rozkazów władcy poddanym udzielał,  
Słyszą je wszystkie ziemskie i morskie potoki,  
A to, co słyszą, zaraz spełnią bez zwłoki.  
Już ocean ma brzegi, łożę swoje rzeka,  
Wzgórza wychodzą z morza, woda w doły ścieka,  
Łąd się wznosi i wzrasta przez morza ubycie.  
Widać lasy bez liści; na ich martwym szczycie  
I na nagich konarach muł pozostał tłusty.  
Świat się z wody wychylił bezludny i pusty.

Gdy na milczącej ziemi byli tylko sami,  
Deukalion do swej Pyrry tak mówi ze łzami:  
- "Siostró, żono, kobieto jedna pozostała,  
Z którą mię od początku wspólność krwi związała,  
Później śluby, dziś jeszcze wiąże nieszczęść brzemię!  
Od wschodu do zachodu, na szeroką ziemię  
W nas dwojgu ludzkość cała: w morzu znikli inni.  
I my jeszcze nadziei ufać nie powinni.  
Jeszcze chmury nad nami. Nie ciesz się daremnie!  
A gdybyś sama jedna została beze mnie,  
Jakżebyś zniosła trwożę, o nad życie miła?  
Boleść albo zmartwienie z kimże byś dzieliła?  
Wierz mi, gdybym cię widział w morzu pochłonioną,  
I ja w morze za tobą rzuciłbym się, żono!  
O, czemuż ojca mego sztuką ja nie słyne  
I nie umiem wlać życie w ulepioną glinę!  
Naszą sprawą ludzkiego rodu utrzymanie.  
W nas chcieli choć wzór ludzi zachować niebianie".

Rzekł, zapłakał. A nowych lękając się ciosów,  
Chcą od wyroczni przyszłych dowiedzieć się losów.  
Bez zwłoki stają razem nad Cefizu brzegiem,  
Co płynął w dawnym łożu, lecz powolnym biegiem.  
Włosy i szaty świętą pokropiwszy wodą,  
Do świątyni Temidy trwożne kroki wiodą.  
Dach jej okrył mech brzydki, schody muł błotnisty,  
A na ołtarzach ogień wygasł płomienisty.  
Przyszedłszy do świątyni padają na twarze  
I tak się modlą, zimne całując ołtarze:  
- "Jeśli prośba śmiertelnych może zmiękczyć bogi,  
Jeżeli dla nich niebo gniew łagodzi srogi,  
Rzeknij, jak można klęski potopu naprawić.  
Temido, racz nieszczęsnych wysłuchać i zbawić".

Wzruszone bóstwo taką wydaje wyrocznię:  
- "Twarz zakryjcie, z świątyni wynijdźcie niezwłocznie  
I rzucajcie za siebie kości wielkiej matki!"  
Trwożą ich niepojęte wyroczni zagadki.  
Najpierwsza Pyrra długie przerywa milczenie  
I wzbrania się bogini spełnić polecenie:  
- "Nie - rzekła - nigdy taką zbrodnią się nie zmażę  
I tak sromotnie cieniów matki nie znieważę".  
Tymczasem roztrząsając te ciemne wyroki  
Dobyl Deukalion światło z ponurej pomroki  
I rzekł: - "Albo myśl moja fałszywa się wyda,  
Albo nic od nas złego nie żąda Temida.  
Wielką matką jest ziemia, kośćmi są kamienie:  
Te rzucając wznowimy ludów pokolenie".

Uwierzyć wieszczbie męża małżonka się waha,  
A i jemu nadzieja wydaje się błaha.  
Ale mogą tej wróżby doświadczyć bez straty.  
Więc wychodzą, twarz kryją, rozpasują szaty,  
A wieszczącej bogini świętą pełniąc wolę,  
Poza siebie kamienie ciskają na pole.  
Głazy - któż by dał wiarę, lecz żywe odwiecznie  
Ludzi podanie stwierdza ten cud dostatecznie -  
Ostrości i twardości zaczęły pozbywać,  
Mięknąć i już przemiękłe pewien kształt nabywać.  
Gdy zmieniwszy naturę zwolna rosnać zaczną,  
Przyjmują postać ludzką, choć jeszcze nieznaczną  
I podobną do owych posągów rzeźbiarzy,  
Gdy pierwsze cięcie dłuta odznaczy rys twarzy.  
Część ziemna lub wilgotna, co kamień składała,  
Zaraz przechodzi w ciało, w krew i w soki ciała;  
Część twarda i niezgięta w kości się przemienia,  
Żyła zostaje żyłą, nie tracąc imienia.  
Tak odżył świat, potopu wyludniony klęską.

Głaz, rzucony przez męża, przybrał postać męską,  
Z rąk kobiety kamienie kształt kobiet przybrały.  
Stąd poszedł ród nasz twardy, na trudy wytrwały,  
Na świadectwo, skąd wziął się i skąd się wywodzi.

### KSIEGA III

#### NARCYZ I ECHO

Wróż po aońskich miastach niemylnie wyrocznie  
Spragnionemu ludowi wydawał niezwłocznie.  
Liriopa, gdy ją doszła tego wieszczka sława,  
Przybywa, dociec syna przyszłości ciekawa.  
Niegdyś widząc ją Cefiz kąpiącą się w wodzie  
Zapłonął i hołd złożył jej cudnej urodzie.  
Piękny Narcyz uwieńczył kochanków zażyłość;  
Zdawał się być zrodzonym, aby wzniecać miłość.  
Wieszcz, spytany, czy Narcyz szczęśliwych lat dozna,  
Odpowiedział: - "Jeżeli sam siebie nie pozna".  
Wróżba zdała się nie mieć prawdy podobieństwa,  
Lecz ją potwierdził skutek i nowość szaleństwa.

Jedna wiosna do wiosen piętnastu dodana  
Powab niezrównanego rozwija młodziana.  
Łączył w sobie i dziecka, i młodzieńca wdzięki.  
Niejedna już dziewczyna chciała jego ręki,  
Lecz zimny był na miłość, głuchy na westchnienia.

Raz, gdy w sieć płochliwego nagoniał jelenia,  
Głos oddająca nimfa ujrzała go w tłumie,  
Która ni pierwsza mówić, ni milczeć nie umie.  
Echo nie czczym odgłosem, była jeszcze ciałem,  
Choć szczupły dar mówienia stał się jej udziałem,  
Bo tylko słów ostatki mogła z ust wyronić.  
Juno tak ją skarąła, bo raz, chcąc osłonić  
Nimf i Jowisza w górach schadzki i bezprawia,  
Echo zręczną rozmową boginię zabawia;  
Tymczasem zniknął Jowisz. Juno zrad dociekła.  
- "Przez mowę mię zdradziłaś: stracisz mowę" - rzekła.  
Groźbę potwierdził skutek. Echo, już niemowa,  
Ledwie jeszcze ostatnie dopowiada słowa.

Widzi, jak Narcyz w dzikie zapuszcza się knieje:  
W ślad jego postępuje i skrycie goreje.  
Jak gdy do główki smołą oblanej dokoła

Przytkniesz ogień, natychmiast rwie płomienie smoła,  
Tak ledwie do Narcyza przybliżyć się śmiała  
Nimfa, już żywym ogniem w sercu zapalała.  
Ileż to razy chciała czynić mu wyznania  
I słodkie łączyć prośby! Lecz natura wzbrania.  
Więc to czyni, co może. W gęstwinie schowana  
Czeka, aby powtórzyć wyrazy młodziana.  
Narcyz, zbłąkany w lesie, złudzony szelestem:  
- "Tu jestem" - rzekł do swoich. Echo na to: - "Jestem".  
- "Przyjdź!" - mówi Narcyz. Słucha i patrzy dokoła,  
Dziwiąc się, że go wzywa ten, kogo on woła.  
- "I cóż to - rzecze Narcyz - ty stronisz ode mnie?"  
Tyle słów, ile wyrzekł, usłyszał wzajemnie.  
Zdumiał się, a nie wiedząc, kto się w lesie chowa,  
- "Tu się zejdzmy!" - zawołał. Nigdy chętniej słowa  
Nie powtórzyła, jak to, zachwycona Echo  
I ufna słowom własnym wybiega z ucieczą,  
Pewna, że jej udręczeń koniec jest już bliski.  
- "Śmierć raczej - krzyknie Narcyz - niż twoje uściski!  
Nigdy cię nie pokocham". - "Kocham" - nieszczęśliwa  
Tym jednym jeszcze tylko słówkiem się odzywa.  
Wzgardzona, w las ucieka, twarz spłonioną kryje.  
Mogłaby przeżyć miłość, wzgardy nie przeżyje.  
Wszelki pokarm odrzuca, zamyka się w skale;  
Bez końca łyż ją niszczą, wycieńczają żale.  
W ulotne cząstki ciało rozdziela się całe,  
Głos pozostał, a kości zmieniły się w skałę.  
Duch jej błąka się dotąd po górach i w lesie,  
Dotąd koniec pytania w odpowiedzi niesie.

Wszystkie nimfy podobnej doświadczyły wzgardy,  
Tak był nadobny Narcyz z swej piękności hardy.  
Więc jedna z pogardzonych ręce w górę wznosi  
I bogów o tę karę na dumnego prosi:  
- "O, niechże sam pokocha, nie kochan wzajemnie!"  
Prośbę Panna ramnuska słyszy niedaremnie.

Świeża była krynica, pełna czystej wody,  
Nie znały jej po górach pasące się trzody;  
Ani ptak, ani zwierzę, ani gałąź spadła  
Nigdy jej przejrzystego nie mąci zwierciadła.  
Wkoło rosła darnina, rzeźwiły ją zdroje  
I las przed słońcem cienie rozpościerał swoje.  
Polowaniem znużony, Narcyz przy tym zdroju  
Szuka w upał spoczynku, chłodu i napoju.  
Jedno gasi pragnienie, drugie w nim się budzi.  
Pijąc, własnej piękności odbiciem się ludzi,  
Kocha obraz bez ciała, w czczym się kocha cieniu.  
Niewzruszony jak posąg, cały w zadumieniu,  
Patrzy się, nachylony nad przejrzystą wodą.

Niebaczny, sam się swoją zachwyca urodą.  
Szyja, która białością mleko przypomina,  
Włosy godne Bakchusa, godne Apollina,  
Jagody, które żywy rumieniec ozdabia,  
I uśmiech czarujący oko jego zwabia.  
Podziwia wszystko, w czym sam godzien podziwienia,  
Sam jest celem swych pochwał i swego pragnienia.  
W jednej osobie razem i pali, i płonie.  
Ileż razy wyciąga ku krynicy dłonie!  
Widząc w wodnym zwierciadle cel swych życzeń bliski,  
Czcze tylko zimnej wodzie przesyła uściski.  
Nie pojmuje, co widzi, lecz widok go wzrusza,  
Czarowną oczu złudą zapala się dusza.  
Nieszczęsny, złudną marę gonisz w złej godzinie!  
To, co widzisz, jest niczym. Odwróć się, a zginie.  
Obraz, widziany w wodzie, twoim jest obrazem.  
Nic własnego on nie ma, ożył z tobą razem,  
Z tobą razem by zniknął, gdybyś odejść zdołał.  
Próżno głód go odrywał, próżno sen go wołał;  
Narcyz był niewzruszony, a klęcząc na trawie  
Przyglądał się dni całej tej zwodniczej zjawie.  
Przez własne swoje wdzięki ginie w próżnej męce.  
Wstał wreszcie i tak mówiąc wznosił ku niebu ręce:  
- "O lasy, których nieraz przyjacielskie cienie  
Pożądane kochankom dawały schronienie!  
Wy, które czas od wieków w nowy liść osłania,  
Czy widziałyście kogoś, kto tak schnął z kochania?  
Widzę, kocham, a jednak los mi wzbrania srogi  
Dotknąć, uścisnąć przedmiot mej miłości drogi.  
I ani nas rozdziela morze burzą wzdęte,  
Ani góry, ni lasy, ni bramy zamknięte:  
Nikła woda kochankom staje na przeszkodzie.  
I wiem, że mam wzajemność, bo skoro ku wodzie  
Zbliżę się, i on także schyla swoją głowę.  
Już mniemam, że uścisnę usta koralowe,  
Lecz woda nas odgradza. Duszo mojej duszy!  
Wyjdź z tej przeklętej wody! Niech cię głos mój wzruszy.  
Chyba nie dla mej twarzy stronisz tak ode mnie:  
I mnie kochały nimfy, ale niewzajemnie.  
Twoja twarz nieraz lubą zwodzi mnie nadzieją.  
Gdy się śmieję, twe oczy, twe usta się śmieją;  
Gdy do ciebie wyciągam ręce, i ty swoje  
Wyciągasz; kiedy płaczę, łez wylewasz zdroje.  
Poruszyłeś ustami, mówisz jakieś słowa,  
Ale do moich uszu nie dotrze twa mowa.  
Poznaję, że to złuda. O, żądze szalone,  
O, męki! Sam ku sobie żywym ogniem płonę.  
Cóż czynić? Kogóż będę, o cóż będę zebrał?  
Losie! Dając mi wiele, wszystkoś mi odebrał.  
Obym mógł - jakże dziwne kochanka życzenia -

Rozdzielić się z przedmiotem mego uwielbienia.  
Żal trawi moje siły; niemiłe mi wszystko  
I będąc w kwiecie wieku, jestem grobu blisko.  
Nie żal mi życia. Ziemia męki me pokryje.  
Nawet mnie mej miłości przedmiot nie przeżyje.  
Obu nam jedną duszę jedna wydrze chwila".  
To mówiąc, raz się jeszcze nad wodą nachyla,  
Miłością omamiony w cichą toń spoziera;  
W zmaconej łzami wodzie obraz się zaciera.  
- "Dokąd uciekasz - woła - zostań, zostań jeszcze,  
Niech przynajmniej widokiem twoim się napieszczę.  
Niechbym chociaż mógł patrzeć na przedmiot kochania  
I sycić szal nieszczęsny, co życie pochłania".  
To wyrzekłszy drze szaty z nadmiaru cierpienia  
I bijąc w białe piersi, krwią je zarumienia.  
Podobnej barwy owoc miewają jabłonie,  
Z tej biały, a czerwony po przeciwnej stronie,  
Podobnie w licznych gronach od słońca przygrzane  
Szkarłatną biorą farbę jagody rumiane.  
Zaledwie w wód zwierciadle pierś krwawą zobaczy  
Nieszczęsny Narcyz, strasznej ulega rozpaczy.  
Jak szron ranny pod słońcem, jak воск pod płomieniem,  
Tak on znika, powolnym dręczony cierpieniem.  
Trawi go ogień skryty, stracił powab zwykły,  
I z bielszej nad śnieg twarzy wszystkie róże znikły,  
Znikła czerstwość i siła, i piękność wspaniała,  
Którą wszyscy cenili, Echo ubóstwiała.  
I choć jej Narcyz życia odebrał nadzieję,  
Przecież Echo nad jego nieszczęściem boleje.  
Ileć nad okropnym użalał się losem,  
Echo żal jego swoim dzieliła odgłosem;  
Łkania jego powtarza i jęki oddaje.  
Gdy Narcyz raz ostatni nad krynicą staje  
- "Żegnaj cię - rzekł - daremnie kochany młodzianie!"  
I Echo mu toż samo daje pożegnanie.  
Tak skończył boski Narcyz. Żałość w grób go tłoczy  
I wielbiące twarz własną śmierć zamyka oczy.  
Ale nawet zeszedłszy w podziemne osiedle,  
I tam się jeszcze w Styksu podziwia zwierciadle.  
Płaczą po nim najady, bratu święcąc włosy,  
Płaczą driady; Echo powtarza ich głosy.  
Niosą urnę, pochodnie, wznoszą stos wysoki,  
By ostatnią posługą uczcić jego zwłoki.  
Ale już ich nie było. W tym miejscu spod ziemi  
Wyrósł kwiat złoty, liśćmi uwieńczon białymi.

## KSIEGA VI

### NIOBE

Wieść o tym, co się stało, rozbrzmiewa dokoła,  
Obiega Lidię, Frygię, ich grody i sioła.  
Niobe przed swym ślubem żyjąca w Meonach,  
W ojczystych się z Arachną zapoznała stronach.  
Przykład ziomki daremną był dla niej przestroga,  
Że bóstwa znieść bezkarnie zuchwalstwa nie mogą.  
Z wielu dóbr była pyszna. Jednak ani z rodu,  
Ani z władzy królewskiej, ani z męża grodu  
Taka dumna nie była, jak ze swoich dzieci.  
I byłaby Niobe najszczęśliwszą z matek,  
Lecz sama zbyt zuchwale swe szczęście rozgłasza.  
Bo Manto, prorokini, córka Tyrezjasza,  
Boską mocą natchniona, tak po drogach woła:  
- "Spieszcie, o Ismenidy, śpieszcie do kościoła,  
I ofiary Latonie, z jej córką i synem,  
Składajcie, a swe włosy uwieńczcie wawrzynem.  
Bóstwo przeze mnie mówi". - Posłuszne Tebanki  
Schodzą się, przystrojone w wawrzynowe wianki,  
Sypią kadzidła, święte ognie zapalają.  
Wtem nadchodzi Niobe z liczną dworzan zgrają.  
Po frygijsku ubrana, od złota jaśniała,  
Mimo gniewu powabna i w ruchach wspaniała;  
Na pierś śnieżną włos spadał trefiony w pierścienie.  
Staje i dumne wkoło rzucając wejrzenie  
Tak zuchwale zawoła: - "Iście, szal to srogi  
Przekładać niewiadome nad wiadome bogi!  
Stawiać ołtarz Latonie, gdym ja bez czci żadnej,  
Ja, której ojcem Tantal, gość bogów biesiadny,  
Ja, Plejad siostrzenica, ja, Atlaa wnuka,  
Na którego ramionach świat podpory szuka.  
Mnie wielki Jowisz jak teść i jak dziad zaszczyca,  
Mnie czczą ludy frygijskie, mnie Kadma stolica,  
Mnie gród, wzniesion cudnymi męża mego tony,  
I lud w nim zamieszkały składają pokłony.  
Wszędzie w moich pałacach błyszczą skarbów mnóstwo,  
A kto piękność mą widzi, przyznaje, żem bóstwo.  
Siedem cór, siedmiu synów, to życia słodycze;  
Wkrótce tyleż synowych i zięciów naliczę.  
I wy śmiecie przyczyny mojej dumy badać?  
I wy śmiecie Latonę nade mnie przekładać?  
Córkę jakiegoś Ceja, której ziemia cała  
Ani kąta na połóg użyczyć nie chciała!  
Sławnej waszej bogini ani morskie kraje,  
Ani niebo żadnego schronienia nie daje.



Tułała się wygnanka po świata przestworzach.  
- "Ty błądasz się po ziemi, ja błądzę po morzach" -  
Rzekła Delos i w górach ukryła ją swoich.  
Tam rodzi dwoje dzieci - to siódma część moich!  
Szczęśliwam i na zawsze szczęśliwą zostanę,  
Dostatek mnie na wszelką ubezpieczył zmianę.  
Wyższam nad pocisk Losu, wyzywam go śmiało:  
Choćby mi wydarł wiele, więcej by zostało.  
Choć z tłumu dzieci moich weźmie które dziecko,  
O dwojgu, jak Latona, nie zostanę przecie.  
Dwoje - cóż mi za liczba! Tyle, co nic prawie!  
Idźcie, rzuciwszy wieńce: już koniec zabawie".  
Rzekła. Laury składają, wychodzą z świątyni,  
Lecz jak mogą, cześć w sercu oddają bogini.

Ten gwałt w duszy Latony słuszną zemstę nieci,  
I tak z wierzchołka Cyntu do swych rzecz dzieci:  
- "Oto mnie, dumnej, żem was nosiła w swym łonie,  
Mnie, com jedynej tylko nierówna Junonie,  
Odmawia się czci boskiej. Bez waszej opieki  
Zostanę bez ołtarzy, wzgardzona na wieki.  
I nie dość tego bólu: już córa Tantała  
Siebie nade mnie, nad was swe dzieci przechwala;  
Mnie nazywa bezdzietną - niech to na nią spadnie,  
Gdy tak, ojca przykładem, śmie bluźnić szkaradnie".  
Jeszcze chce prośbę dodać do tego, co rzekła.  
- "Przestań - Feb przerwie - skarga zemstę by odwlekła".  
Toż samo stwierdza Febe, i w gęstym obłoku  
Schodzą na zamek Kadma, niewidzialni oku.

Tuż pod murami miasta było równe błonie;  
Twardymi je kopyty stratowały konie  
I koła wartko pędząc pokrajały w bruzdy.  
Tam synowie Amfiona, nałożywszy uzdy  
Ciężkie złotem, na bystre wskakują rumaki -  
Szarłacą się purpurą barwione czapraki.  
Wtem jeden z braci, Ismen, pierwsze matki brzemię,  
Gdy koniem krąg zatacza przez tętniącą ziemię,  
A koń wspina się, pieni: - "Ach, biada mi!" - krzyknął,  
Bowiem pocisk mu piersi na wylot przeniknął.  
Z konającego dłoni wędzidła wypadły,  
Leci na prawą stronę, martwy i poblady.  
Słyszy brat jego, Sypil, świszczące pociski.  
Chce uciec, puszcza wodze. Tak gdy obłok bliski,  
Ciężarny piorunami, żeglarz ujrzy nagle,  
By lada wietrzyk schwytać, rozpościera żagle.  
Lecz i pierchającego dosięgł cios morderczy.  
Strzałą, przesywszy czaszkę, w środku gardła sterczy;  
On, jak biegł pochylony, po grzywie się stoczył,  
Padł i na miejscu ziemię krwią gorącą zboczył.

Gdy po zwykłych ćwiczeniach, nieszczęsny Fedymie,  
I ty, Tantal, dziadka dziedziczący imię,  
Na młodzieńcze zapasy biegliście z zapalem,  
Gdy pierś z pierśią się zwarła, ciało starło z ciałem,  
Z wyprężonego łuku wypuszczona trzcina,  
Jak byliście spojeni, obu was przecina.  
Razem jękli, polegli i tej samej chwili  
Razem oczy ich zgasły i zmysły stracili.  
Przerażony Alfenor widząc zwłoki bratnie  
Chce je wziąć, chce im oddać usługi ostatnie.  
Lecz gdy tak do pobożnej czynności się śpieszył,  
Delijczyk śmiercionośnym grotem pierś mu przeszył.  
Wyrwał go, lecz wraz z ostrzem wyrwał kawał płuca,  
A z krwią upływającą duch ciało porzuca.

Ale tobie nie jedna zgon przynosi rana,  
Damazyhtonie młody. Grot środek kolana  
W samym zgięciu ci przebił, i gdy ręką silną  
Usiłujesz wydobyć strzałę nieomylną,  
Tuż po niej druga ostrzem gardło ci rozdziera,  
Ale ją krew ognista na ziemię wypiera.  
Strzela z rany krew w górę, potem ziemię rosi.  
Ostatni Ilijonej próżno ręce wznosi  
I tak błaga: - "Przebaczcie, o bogowie nieba!"  
Prosił wszystkich, nieświadom, że nie wszystkich trzeba.  
Chciał Feb, lecz nie mógł cofnąć strzały wypuszczonej,  
I od najłżejszej rany poległ Ilijonej.

Wieść okropna, żal ludu, najbliższych płacz rzewny  
Dały wnet o nieszczęściu macierzy znak pewny.  
Zadziwiona, że mogli, i gniewna, że śmieli  
To czynić, na co prawa bogowie nie mieli,  
Usłyszała, że Amfion przebił się żelazem  
I tak smutku i życia pozbawił się razem.  
O, jak teraz Niobe odmienna od owej  
Dumnie przez środek miasta kroczącej królowej,  
Co do świątyń Latony odganiała ludzi.  
Wtedy godna zazdrości, teraz litość budzi.  
Padła na zimne zwłoki i synów swych ciała  
Bez różnicy raz jeszcze ostatni ścisnęła.  
Wreszcie tak woła, z dłonią ku niebu wzniesioną:  
- "Nakarm się mym nieszczęściem, okrutna Latono!  
Nakarm, nasyc mym smutkiem srogie serce swoje!  
Siedmiorakim pogrzebem kończę życie moje.  
Ciesz się! Raduj! Odniosłaś tryumf nad Niobą.  
Lecz nie! I teraz jeszcze mam wyższość nad tobą.  
Biednej więcej zostało, niż szczęśliwej tobie.  
Jeszczem cię zwyciężyła, choć synów mam w grobie".

Rzekła. Wtem niespodzianie nowa strzała brzękła.

Wszyscy zbledli. Niobe jedna się nie złąła,  
Nieszczęściem już zuchwała. Nad bratnimi stopy  
Stały siostry żałobne rozpuściwszy włosy.  
Jedna z nich, gdy w rozpaczy nad bratem schylona,  
Chce strzałę z ciała wyrwać, upada i kona.  
Druga, gdy w żalu matkę pociesza stroskana,  
Już na wieki umilkła, tajną tknięta raną.  
Ta uciekając padła, ta na siostrze legła,  
Tę kryjącą się dusza, tę drżącą odbiegła.  
Nad sześciu córek matka bolała już stratą,  
Ostatnia pozostała. Tę ciałem i szatą  
Otulając, zawoła: - "Zostaw mi jedyną!  
Za tą ostatnią proszę, najmłodszą dzieciną!"  
Tak błaga. Ta, za którą błaga, pada. Ona,  
Śród zwłok męża i dzieci, już osamotniona,  
Staneła słupem. Z bladej twarzy krew uciecze,  
Włosów wiatr nie rozwiewa, bo już nie człowiecze;  
W martwym oku źrenica stoi bez wzruszenia,  
Nie może władać ręką ni podnieść ramienia,  
Ani stopą posunąć, ani ruszyć szyją.  
Nie ma życia w posągu; już żyły nie biją,  
Już całe podniebienie z językiem zdrętwiało,  
Już na koniec i same wnętrzości są skałą.  
Płacze jednak. Wiatr silny porywa ją w chmury  
I w pędzie stąd zanoszą na ojczyście góry.  
Tam jej łzy dzisiaj jeszcze ściekają po głazie.

## KSIĘGA VIII

### DEDAL I IKAR

A na Krecie, po długiej rozłące ze swemi,  
Dedal uczuł tęsknotę do ojczyściej ziemi.  
Lecz wstrzymuje go morze i Minosa rządy.  
- "Niechaj zamknie przede mną i morza, i lądy -  
Rzekł Dedal - niebo dla mnie wolne pozostanie.  
Ma ziemię, lecz powietrza nie wziął w posiadanie".  
Byстрым umysłem swoim naturę poprawia  
I nowe kunszty tworzy: pióra w rząd ustawia,  
Małe od dołu, wyższe po niższych kolejają;  
Tak na wsi z trzciny nierównych flet robić umieją.  
Z środka je nićmi, w końcu lepkiem woskiem spina

I na wzór skrzydeł ptaka lekko je zagina.  
Na ojca swego twory patrzył Ikar mały,  
Igrał z nimi, nie wiedząc, że go zgubić miały.  
To raz, śmiejąc się, piórka latające goni,  
To wosk przysposobiony w drobnej gniecie dłoni  
I tak ojca robocie ustawicznie szkodzi.  
Wreszcie dzieło z rąk mistrza gotowe wychodzi.  
A wtedy Dedal skrzydła do ramion przypina  
I poruszając nimi wzbijać się poczyna.  
Uczy syna: - "Byś nie był przyczyną swej zguby,  
Średniej trzymaj się drogi, Ikarze mój luby.  
Opuścisz się zbyt nisko: woda skrzydło zmoczy.  
Za wysoko się wzniesiesz: słońce wosk roztopczy.  
Leć środkiem. Na Boota, na oba Niedźwiedzie,  
Na miecz nagi Oriona niech cię wzrok nie wiedzie.  
Za mną śpiesz!" - Tak mu sztukę latania objawia  
I niezwykajne skrzydła do ramion przypinawia.  
Wśród rad i przygotowań starzec ciężko wzdycha,  
Drży mu ręka, twarz blednie i łza płynie cicha.  
Ostatni raz synowi tkliwy uścisk daje  
I wskazując mu drogę, w górne wzlata kraje.  
Tak matka ptasząt z gniazda wysokiego leci,  
Po raz pierwszy w powietrze wywodząc swe dzieci.  
By w jego dążył ślady, na wszystko zaklina  
I sam bije skrzydłami i patrzy na syna.  
Rybak, mącący wędką czyste wód zwierciadło,  
Pasterz o kij oparty i rolnik o radło,  
Widząc ich, jak powietrzne przebywali drogi,  
Oślupiał z zadumienia i wziął ich za bogi.  
Minęli Delos, Paros. Po lewej ich stronie  
Był Samos, poświęcony potężnej Junonie,  
Z prawej Lebint i w miody Kalimna bogata,  
Gdy młodzian niecierpliwy, że tak nisko lata,  
Żądzą nieba przejęty, ojca porzuciwszy,  
Wzniósł się wyżej w powietrze. Słońca promień żywszy  
Roztapia skrzydeł kruche spojenie, wosk wonny.  
Opadły pióra, nagich ramion ruch bezbronny  
Już go dłużej w powietrzu utrzymać nie zdoła.  
Spadający za późno ojca w pomoc woła;  
Legł w morzu, które odtąd imię jego wzięło.

## KSIĘGA X

### ORFEUSZ I EURYDYKA

Stąd w krokoszowej szacie, powietrzem niesiony,  
Śpieszył Hymen odległe odwiedzić Cykony.  
Daremnie go Orfeusz wzywał na swe śluby;  
Przybył wprawdzie, lecz z czołem posepnym, co zguby  
Zamiast błogosławieństwa niosło z sobą hasło.  
Pochodni, którą trzymał, słabe światło gasło,  
Dymiała się płaczliwie i ogień nie płonął.  
Ale gorsze niż wróżba szły wypadki pono.  
W nimf gronie, gdy po trawie biega młoda żona,  
Upada, zębem węża w stopę ukąszona.

Opłakawszy małżonkę i swe przeznaczenie,  
Jeszcze śpiewak Rodopy chciał ubłagać cienie:  
Śmiało bramą tenarską schodzi do Erebu.  
Minał tłum lekkich cieni, zeszyłych z czcią pogrzebu,  
I przed królem z królową, co tam władną smutni,  
Taką prośbę wyśpiewa, wtórując na lutni:  
- "Bóstwa krain podziemnych, dokąd wszystko schodzi,  
Cokolwiek śmiertelnego na ziemi się rodzi,  
Nie myślcie, że zstąpiłem do tych strasznych ciemnic,  
By ujrzeć Ereb mroczny i pełen tajemnic  
Albo zgromić potwora, co wszczęty z Gorgony,  
Potrójną paszczą groźny, w węże nasrożony.  
Za żoną tu przyszedłem, którą w lat jej wiośnie  
Wąż nadeptany życia pozbawił zazdrośnie.  
Chciałem znieść moją stratę: miłość zwyciężyła.  
Wiem, że w niebie jest znana wszechwładna jej siła.  
Czy tu także, ja nie wiem; lecz głosi podanie,  
Że was także wzajemne złączyło kochanie.  
Na okropność tych pieczar, ten chaos głęboki,  
Na to państwo milczenia i wiecznej pomroki  
Błagam was, Eurydykę wróćcie mi kochaną,  
Zwiążcie przedzę jej życia, za wcześniej zerwaną!  
Wszystko wam będziem winni! Jeszcze trochę zwłoki,  
A prędzej, później razem wejdziemy w te mroki.  
Tu jest dom nasz ostatni; wszystkich los ten czeka,  
Urodzenie dług śmierci wkłada na człowieka.  
I ona wróci, życia bieg skończywszy cały.  
Za dobrodziejstwo przyjmiam dar życia, choć mały.  
Lecz gdybym, nieszczęśliwy, nie miał widzieć żony,  
Życ nie chcę; niech choć śmiercią będę z nią złączony".  
Gdy tak śpiewa, do śpiewu wtórując na lutni,  
Płaczą cienie, sępowie nie szarpią okrutni,  
Tantal bieżącej wody nie ściga już wcale,

Wnuki Bela spoczęły, Syzyf siadł na skale,  
Zatrzymuje się w pędzie koło Iksyjona  
I pierwszy raz Erynną do łez jest wzruszona.  
Już mu prośby odmawiać nie śmie żona króla,  
Nawet i władcy piekieł serce się rozczuła.  
Wzywają Eurydyki. Między dusz natłokiem  
Stojąc, raniona, wolnym zbliżała się krokiem.  
Otrzymał żonę Orfeja pod warunkiem przecie,  
Że się nie ma oglądać, aż na górnym świecie;  
Inaczej Eurydykę utraci na wieki.

Wśród milczenia głuchego szli na świat daleki  
Drogą ciemną i mgłami zaległą gęstemi.  
I już się mieli wkrótce wydostać z podziemi,  
Gdy trwożny, czyli za nim idzie Eurydyka,  
Oglądnie się Orfeusz - a wtem żona znika.  
Próżno ją objąć, próżno zatrzymać się stara:  
Eurydyka jak biała rozpierzchnęła się mara.  
Lecz nie śmie się użalać nad tą srogą zmianą,  
Chybaby się żaliła, że jest zbyt kochaną.  
Słabym głosem ostatnie pożegnanie daje  
I zapada się znowu w smutne śmierci kraje.  
Tak zbladł Orfeja, powtórnie małżonkę straciwszy,  
Jak ów w kamień zmieniony człowiek najłękliwszy,  
Kiedy piekieł szczechacza w kajdanach spostrzeża  
I gdy za ledwie życiem trwoga go odbiega;  
Lub jak Olen, co obce przyjął na się winy,  
I Letea zbyt dumna z swych wdzięków przyczyny,  
Wprzód jedną tylko duszę mający oboje,  
Dziś opoki na Idzie, płodnej w liczne zdroje.

Próżno wracał się Orfeja. Charon niezblągany  
Nie chciał go przez Kocytu przeprowić bałwany.  
Siedem dni bez pokarmu czekał śpiewak boski,  
Łzy były mu napojem, pożywieniem troski.  
Buntując się przeciwko losowi srogiemu  
Przez wyniosłą Rodopę powrócił do Hemu.

## PIGMALION

Pigmalion widząc żywot Propetyd gorszący,  
Zniechęcił się do kobiet, grzechu szukających,  
A nie znając miłości, żył sam i bez żony.  
Cały dzień go zajmował przedmiot ulubiony;  
Pod jego dłutem piękność cudowna wstawiała,  
Której żadna kobieta jeszcze nie sprostała.  
Zapala go miłością własne jego dzieło;

Mniema, że jakieś bóstwo czuciem je natchnęło.  
Postać miała dziewicy. Myślałbyś, że żyje,  
Że chce iść, ale nie śmie, bo nic ją nie kryje.  
Rzeźba zwodzi rzeźbiarza. Patrzy na jej wdzięki,  
Unosi się, zachwyca dziełem swojej ręki.  
Czasem pragnąc się wywieść z lubyh mu omamień,  
Chwyta marmur, lecz nie śmie przyznać, że to kamień.  
Całuje posąg, mniema, że jest całowany;  
Czułą rozmową słodzi serca swego rany.  
To mniema, że go piękna dotknęła się ręka,  
To uroczych jej wdzięków skażenia się lęka,  
To ją pieści, to różne przynosi jej fraszki  
Miłe młodym kobietom: perły, konchy, ptaszki,  
Łzy Heliad i barwami mieniające się kwiaty,  
To kosztowne kamienie, to ubiór bogaty.  
Sam chce ozdabiać ciało mniemanej małżonki;  
Perły kładzie na szyję, na palce pierścionki,  
I kolczyk, kamieniami drogo wysadzony.  
Piękna teraz - piękniejsza, gdy nie ma zasłony.  
Na sydońską purpurą zaścielone łożo  
Siada myśląc, że posąg czuć i kochać może;  
Kładzie go obok siebie, z uniesieniem ściska  
I daje mu kochanki i żony nazwiska.  
Wszedł dzień Wenery, w Cyprze sławnie obchodzony;  
Już biała jałowica z porożem złożonym  
Pośród dymu kadzideł przed ołtarzem pada.  
Zbliża się trwożny rzeźbiarz, bóstwu dary składa:  
- "Bóstwo, jeśliś wszechmocne - rzekł cicho tesłowa -  
Daj mi żonę tak piękną, jak ta marmurowa".  
Nie śmiał prosić o więcej. Niewidzialna oku  
Wenus, przytomna świętu, lecz skryta w obłoku,  
Słyszała prośbę. Na znak, że jej zadość czyni,  
Trzykroć błysła płomieniem życzliwa bogini.  
Wraca rzeźbiarz do domu i posąg całuje.  
Widzi, jak ogień życia martwy gład zajmuje.  
Już śmielszy, z uniesieniem pierś przyciska piękną.  
Przykłada usta. Zwolna wszystkie członki miękną;  
Tak za dogrzaniem słońca wosk swą twardość traci,  
Dotknięty ręką, różnej nabiera postaci.  
Nie śmie wierzyć w swe szczęście, myśli, że to złuda,  
Jeszcze raz obejmuje posąg. Wtem - o cuda -  
Poczuł jej serca bicie. Kamień stał się ciałem.  
Wenerze dzięki składa Pigmalion z zapalem  
I prawdziwe już usta usty swymi tłoczy.  
Dziewica czuje uścisk i otwiera oczy,  
I rumieni się cała, gdy z światła widokiem  
Kochanka zadziwionym zobaczyła okiem.  
Przez siebie połączonym Wenus błogosławi,  
A zaledwie dziesiąty księżyc się objawi,  
Mają córkę, zwą Pafos. Od tego imienia

I wyspa Cypru swoje nazwanie przemienia.

## KSIĘGA XI

### MIDAS

Z gniewem porzuca dziką Bakchus okolcę,  
Zwiedza w mniej dzikim gronie Tymolu winnice  
I Paktol, jeszcze drogim nie błyszczący złotem,  
Nie będący z swych piasków zazdrości przedmiotem;  
Satyry i menady za swym bogiem śpieszą.  
Jednego brak Sylena między zwykłą rzeszą.  
Wiekem, winem osłabły, został starzec jeńcem  
U frygijskich wieśniaków. Ci go kwiatów wieńcem  
Opasawszy, przywiedli przed swojego władcę.  
Często Midas z Orfejem na bakchanckiej schadzce.  
Często z Eumolpem bywał. Gdy mu się więc zjawił  
Spólnik zabaw, rad z gością, świetną ucztę sprawił.  
Dziesięć dni, dziesięć nocy trwała bez ustanku.  
Gdy jedenasta zorza gwiazdy o poranku  
Spędzi, król Midas z dworem idzie w Lidów kraje  
I Sylena młodemu uczniowi oddaje.  
Wesół z mistrza powrotu bożek i szczęśliwy,  
Królowi wybór daru zostawia szkodliwy.  
Bo chciwiec zgubne dla się objawił żądanie:  
- "Czegokolwiek się dotknę, niech się złotem stanie".  
Przystaje i tę prośbę zaraz Bakchus iści,  
Żałując, że tak płochych chciał Midas korzyści.

Odszedł król, rad z spełnienia zgubnego zamiaru;  
Chce dotknięciem doświadczyć rzetelności daru.  
Ledwie wierzy, Bakchusa zdziwiony szczodrotą:  
Ułamał gałąź z dębu, w ręku trzyma złoto.  
Podnosi kamień z ziemi, aż tu złota bryła;  
Dotknął skiby: i skiba w złoto się zmieniła;  
Uszczknął kłosa, już złote żniwo go zdumiewa;  
Zerwał jabłko, myślałbyś, że z Hesperyd drzewa.  
Gdy mu tak wielkie cuda odurzają zmysły,  
Dotknął podwoi dłońią: i te złotem błysły.  
Gdy swe ręce umywa u czystego źródła,  
Woda na jego dłoniach Danaę by zwiodła.  
Ledwie już myślą zdoła objąć swe nadzieje;  
Czego się dotknie, wszystko od złota jaśnieje.



Radość króla Midasa z każdą chwilą wzrasta.  
Każe stawiać na stoły i wina, i ciasta,  
Ale czy dotknie ręką owoców Cerery,  
Czy też darów Bakchusa, już z nich kruszec szczery.  
Kiedy do ust potrawy cheiwa przytknie ręką,  
Każda w zębach potrawa jakby blacha szczeka,  
A gdy do czystej wody wleje soki winne,  
Ledwie dotknie pucharu, już z nich złoto płynne.  
Wpada w rozpacz i, bogacz, ubogim się widzi,  
I tym, którego pragnął, dostatkiem się brzydzi.  
Skarb głodu nie uśmierza. Pali go pragnienie,  
A nienawistne złoto rozjątrza cierpienie.  
Wznosząc ręce ku niebu, ile tylko zdoła:  
- "Przebacz, Ojczy Lenejski, zgrzeszyłem - zawoła -  
Zlituj się nad proszącym i wybaw czym prędzej.  
Wybaw mię, dobroczyńco, z tej błyszczącej nędzy!"

Słyszając łagodny Bakchus, jak ze skrucną zebrał,  
Żalującym wina dar zgubny odebrał.  
- "Gdy zechcesz obmyć z ciała dar źle pożądany,  
Idź do rzeki, przy Sardach toczącej bałwany.  
Wzdłuż jej brzegów - rzekł Bakchus - kierując swe kroki,  
Staniesz u jej źródła w kotlinie głębokiej,  
A gdzie spieniona woda jak najmocniej bije,  
Wsadź głowę, niech się złoto i wina wraz zmyje".  
Nurza się Midas w źródło. Zaraz z jego ciała  
Moc złota się rozeszła i w rzekę rozlała.  
Dziś w niej jeszcze nasienie złota każdy zoczy,  
Bo dotąd z dawnej żyły złoty piasek toczy.

Midas, przekląwszy złoto, teraz wiejskie czary,  
Lasy i górskie Pana polubił pieczary.  
Ale tępe pojęcie, jakie miał, zostało,  
I to mu jeszcze złego przyniesie niemało.

## EPILOG

Już i dzieło skończyłem. Gniew bogów, płomienie,  
Żelazo go nie zniszczy, ani wieków tchnienie.  
Gdy chwila, która prawo ma tylko do ciała,  
Przyjdzie, by kres ostatni życiu memu dała,  
Wzniosę się częścią lepszą do niebios sklepienia  
I nic mojego zatrzyć nie zdoła imienia.  
Bo dokąd tylko dotrzesz, Rzymie pełen chwały,

Usta ludu wierszami mymi będą brzmiały.  
A jeśli wieszcz posiada dar przeczuć rzetelny,  
W blasku sławy żyć będą wieki - nieśmiertelny.